



IZABELA  
SOWA

PODRÓŻ  
POŚLUBNA

Izabela Sowa

# Podróż poślubna

*Nawet najodważniejsze krewetki  
nigdy nie wyskakują ze swojej rzeki*

– PRZYŚŁOWIE JAPOŃSKIE

Zwykle dostaję afobam albo pernazynę, ale tym razem w przychodni był nowy lekarz. Niby nowy, a już sponiewierany przez mroczne historie pacjentów i własny kompleks Edypa. Posłuchał, ziewnął, przetaił wielkie okulary w stylu Yves Saint Laurenta, upił łyk zimnej kawy, ziewnął, przyjrzał się fotografii matki straszącej z ekranu starego monitora, znowu łyk zimnej kawy, i wreszcie wypisał receptę. Sajlentnajt. Nowy, bezpieczny, całkiem tani. Uzależnia dopiero po miesiącu. Kupiłem, a co tam! Jestem otwarty na nowe doświadczenia.

– Wie pan, jak zażywać? – spytała farmaceutka, zmierzwiwszy mnie wzrokiem argentyńskiej dożycy.

– W zasadzie...

– Nic pan nie wie – warknęła. – Jedna tabletką, kwadrans przed snem, prosto do łóżka i nie otwierać oczu, bo będzie się działa. Sny panu wyjdą na kołdrę jak żywe.

Wieczorkiem wskoczyłem w piżamę i pyk: od razu dwie tabletki. Jak szaleć, to szaleć. Leżę pod kołdrą, czekam na błogi sen i nagle mi się przypomina, że przecież jeszcze nie jadłem kolacji. Co tu zrobić, myślę, przecież miałem się nie ruszać. A w pustych kiszkiach hulają wiatry. E tam, szybko pobiegnę do kuchni, zdążę przed snem. W try miga dopadam lodówki i buszuję. Pierwsza półka – zimno, druga – coraz zimniej, zamrażalnik – lód. Jeszcze się nie poddaję. Pojemniki na jajka, na warzywa, kosz na śmieci, wreszcie chlebak. Hurra – z boku po lewej wymacałem trzy małe bułki. Niby świeże, ale pulsujące błękitnym światłem. Wziąłem tę najmniej niebieską i szukam sosu. Jest sos, wprawdzie podany na gazecie, ale ja snob nie jestem, z porcelany jeść nie muszę. Ważne, że sam sos całkiem OK, z dużą ilością pieprzu i krwistego mięsa. W tym „Przekroju” to naprawdę pichcą! Dokończyłem bułkę i wracam do pokoju. Ale już widzę, nie będzie tak łatwo. Najpierw muszę odkleić poślądki od stołka. Zassały się cholery jak dwa glonojady do szyby akwarium i nie puszczają, choć ciągnę z całych sił. Będę musiał pomóc sobie cedzakiem. Podważyłem lewy pośladek i biorę się za prawy. A prawy też jakiś lewy! Koniec świata! Udało się wreszcie, ale wolę nie myśleć, jak teraz wygląda mój tyłek. Zwisa do kolan, będę musiał iść na jakiś lifting. Ale to jutro, dziś mam ważniejsze sprawy.

Najpierw przeprawa przez korytarz, dodam najdłuższy w nowoczesnej Europie. Przez kwadrans biegnę, ile tchu, wreszcie wpadam na chodnik i dopiero się zaczyna. Bunt kwiatów! Wynurzyły się nagle z tapet i falują. A razem z nimi ściany, sufit, nawet podłoga. Nie dam się sprowokować, myślę, zamknę oczy i przemknę po omacku. Ale gdzie tam! Ledwo przymknąłem lewe oko, powieka odjechała mi na pół metra, tuż przed gałkami pojawił się gość ulepiony z budyniu i zaczyna mnie laskotać po źrenicy. Aż się popłakałem! No nie, taki kontaktowy to ja nie jestem, żeby mnie gilgał nieznajomy barbapapa. Koniec igraszek! Strzepnąłem łobuza dłonią, wdeptałem w chodnik i rura do pokoju. Szybko, szybko, myślę, bo kwiaty nie żartują, wręcz przeciwnie: pozwalają sobie coraz bardziej. Oplatają kostki, syczą niczym żmije, kłują tandetnymi barwami. Zziązany wpadam wreszcie do sypialni i z hukiem zatrząskuję drzwi. W ostatniej chwili, bo kwiaty już zaczęły szczypać futrynę.



Co tu zrobić? Muszę koniecznie z kimś pogadać, żeby się uspokoić. Z kimś przyjaznym, bezpiecznym, miękkim. Mam! Pogadam z jaśkiem! Sam zresztą przypełził mi pod nogi i ociera się jak kot mojej ciotki, gruby Zygmunt. Wygina grzbiet, mruczy, nastawia rożki do głaskania. I prosi, żebyśmy popatrzyli w telewizor. Dobra, tylko gdzie pilot? Rozglądamy się z jaśkiem gorączkowo. Pod gumowym stołem nie ma, za krzesłem z półnut też nie. Tu go mamy, krzyczy jasiiek, za doniczką. Wszystko jasne: pilot wstydzi się, bo strasznie spuchł i wygląda jak ogromna kajzerka, a przyciski ma z ziarenek czarnuszki. Czy można trafić w taki przycisk? Można, językiem pod warunkiem, że jest grubości zapalki. Włączam Polsat, a tam specjalny komunikat. Dla mnie i jaśka. Uwaga na grochy czające się pod łóżkiem! Skąd się tam wzięły? Uciekły z piżamy i teraz dokazują, wyjadając plastikowe sęki z paneli. Hałasują przy tym, o trzeciej w nocy! I co ja powiem jutro sąsiadce z dołu? Że gości miałem? A sen nie nadchodzi! Nie ma rady, trzeba wziąć trzeci sajlentnajt. Łyknałem na sucho, bo do kuchni po wodę jakoś nie bardzo. A nuż znowu dopadnie mnie stółek? Więc łyknałem, dopychając językiem, aż do żołądka. Jedną tabletkę podrzuciłem jaśkowi, chytry nie jestem, jak kogoś lubię, umiem się podzielić. Potem hop, pod kołdrę i leżymy. Może by tak jeszcze sprawdzić pocztę? Coś mi się widzi, że dostałem maile od księcia Karola. Miał napisać, kiedy do mnie wpadnie na pierogi. Wyciągnąłem nogę spod jaśka i stopą sięgam do laptopa stojącego w drugim kącie pokoju. Włączam dużym palcem „start”, gotowe: z ekranu wysypują się na biurko zielone koperty. A w każdej wiadomość od groszków: „Nadchodzi...” i właśnie wtedy dopadł mnie sen.

Obudziłem się osiem godzin później. Biorąc prysznic, zrobiłem bilans ostatniej nocy. Nowe doświadczenia kulinarne, półgodzinny jogging przez korytarz, walka z kwiatami, integracja z jaśkiem. Dwa tysiące spalonych kalorii. Emocje jak po skoku z mostu. A ponadto byłem wyspany.

\*

Ale Paloma nie uznaje rozwiązań na skróty. Chemia to ostateczność, powtarza zawsze koleżankom łykającym tony prochów na dzień dobry, na dobranoc, na wszystko. Najpierw warto zmierzyć się z problemem, wykorzystując własne zasoby. I wsparcie specjalistów. By znaleźć właściwego, Paloma zaliczyła już kontrowersyjny klub przy Gazowej. A teraz jedzie busikiem do Myślenic, czekając na odpowiednią chwilę, by zagadnąć kierowcę o wskazówki. Na razie nie było okazji; zbyt wiele ciekawskich uszu, a i sam informator zajęty konwersacją. Temat: uroki rodzicielstwa.

– Najpierw, jak są małe, to by je człowiek jadł łyżkami, takie się wydają słodkie – sapnął kierowca, zerkając w boczne lusterko. – A dziesięć lat potem żałuje, że tego nie zrobił.

– Ot, dzieci – westchnęła pasażerka w skórzanej kurtce z „Tandeta Center”. – Chwilami se myślę, że jedyna z nich korzyść to wnuki.

– Jedyna – zgodził się kierowca. – Ale zasadnicza. Kiedy się już pojawią małe, wtedy wiadomo: wszystko idzie jak należy. Ród zachowany, można się rozglądać za sosnową garsonką.

Wszystko jak należy, powtórzyła w myślach Paloma. Ale co to właściwie oznacza? Dla kierowcy, wielbicielki skórzanych kurtek i dwudziestu milionów im podobnych – dzierganie życia według dokładnej instrukcji przekazywanej przez rodziców, wraz z motkiem. A dla niej? Nie umiałyby sprecyzować. Nie ma do tego głowy; znowu za krótko spała. Z powodu okruszków. Małe, ale irytujące, dlatego Paloma szuka eksperta, który się z nimi rozprawi. A wtedy w jej małżeństwie wszystko się unormuje. Będą z Norbertem sypiać, jak należy. I wreszcie się wybiorą w wymarzoną podróż. Bo na razie im się nie udaje. Kiedy rano pytała męża, czy ma jakieś pomysły, odparł:

– Zwiedzanie przydworcowych barów Polski „B”, połączone z konsumpcją fasolki po bretońsku, bigosu i ciepłej oranżady.

– Uwielbiam twoje poczucie humoru – skwitowała, podając mu razowy tost z kozim serem i suszonymi oliwkami.

Kwadrans później wyruszyła do Borku, wyjątkowo tramwajem. Nie z oszczędności, każdemu potrzeba odmiany. I szczypty miejskiej egzotyki, uznała Paloma, energicznie wpychając się do wagonu pełnego nie tyle ludzi, co zapachów. Aromat świeżego chleba, bladych zimowych jabłek i mokrych beretów w nucie głowy. Cierpki zapach świeżo wydrukowanych ulotek z Tesco i zamszowych rękawiczek w nucie serca, a w nucie bazy – kozaczki skąpane w błocie i skarpety z trzeciego obiegu. Niezwykły bukiet, oceniła Paloma, ale lepiej nie przesadzać z aplikacją. Zwłaszcza po sześciu godzinach snu. Nie może sobie fundować migreny, czeka ją przecież pracowita środa. Jak pracowita, to zależy od inwencji kierowcy. Poda jej właściwy adres czy wyśle w następną podróż? Tak czy inaczej Paloma nie odpuści. Kobiety często zatrzymują się w pół drogi, by po latach żałować, jak jej matka. Ona chce sobie powiedzieć, że dotarła do mety. A na razie postój w Myślenicach. Odczekała, aż wyjdą wszyscy pasażerowie i zaczęła się przeciskać między fotelami.

– Za daleko żeśmy pojechali? – spytał kierowca, widząc jej niepewną minę.

Bezwiednie przytaknęła.

– Nie każdy wie, kiedy wysiąść – skwitował, sięgając po paczkę ekstramęskich. – Ale nie ma zmartwienia. Za kwadrans wracam na trasę i będziemy szukali.

Posłała mu lekki uśmiech, na zachętę. Podziałało.

– Lubię pomagać zagubionym gąskom – pochwalił się kierowca, odgarniając bujną grzywę w kolorze spieczonego sernika.

– To się dobrze składa, bo szukam pani Tosi.

Kierowca skulił się. Natychmiast. Jak za dotknięciem magicznej różdżki, pomyślała. Albo policyjnej pały.

– Skąd... jak.... po kiego... i czemu ja? – wykrztusił wreszcie.

– Podobno pan wie. Tak mi przekazano w Coconie.

– Ciszej! – syknął, drżącymi palcami zapalając papierosa (o dziwo, od właściwej strony – w filmie wyglądałoby to znacznie efektowniej).

Zapalił, łączywie się zaciągając, zatrzasnął drzwiczki auta, zamknął nawet boczne okienko. Najwyraźniej i on nie dzierga życia zgodnie z instrukcją, pomyślała Paloma. Pozory mylą.

- Kto pani powiedział?
- Barman na małej sali.
- A to mściciel – rozsierdził się kierowca, wzięwszy porządnego macha. – A przecież mówiłem, tłumaczyłem od samego początku, że mam dom, rodzinę, dzieci. Że to nie wypada się tak obnosić.
- Nie wypada – przytaknęła, by wzbudzić jego zaufanie.
- A poza tym kredyt z żoną spłacamy. Chałupa dopiero co wymurowana. Pani wie, jak to trudno podzielić?
- Nawet sobie nie wyobrażam – skłamała, zastanawiając się, którądy poprowadziłaby linię podziału.
- A może oddałaby swoją część mężowi, zatrzymując w zamian ulubione miejsca w restauracjach i pubach? Po co o tym myśli? Przecież dopiero wzięła z Norbertem ślub, nie minęły nawet trzy tygodnie! Zresztą gdyby chciała się rozstać, nie siedziałaby teraz w zadymionym busie.
- Do tego budynek gospodarczy, garaż i pół hektara ziemi pod lasem – ciągnął kierowca. – Tylko głupi by zrezygnował. Głupi i naiwny. Bo i tak by nam nie wypaliło. Dwajścia lat różnicy. Tylko gwiazdy mogą sobie na to pozwolić. Albo jaki dyrektor.
- Nie wypala nawet dyrektorom – wtrąciła Paloma, niechętnie wracając pamięcią do starej przygody z dawnym szefem.
- Więc od razu mu wyjaśniłem, że to tylko na wakacje. Ot, tak dla odprężenia. – Znowu głęboko się zaciągnął, mrużąc przy tym oczy. – I żeby było co wspominać na stare lata. A on co? Niby się zgodził. A teraz mści się, ludzi na mnie nasyła. Opowiada ze szczegółami.
- Mnie nic nie mówił.
- Kierowca aż przeklął. Na złodzieju czapka gore, pomyślała natychmiast. A może... to on nie potrafi zapomnieć? I w ten paradoksalny sposób próbuje sobie radzić z tęsknotą?
- Ja też nikomu nie rozpowiem. Potrzebuję tylko namiarów do pani Tosi. – Starła się, by nie zabrzmiało tak jak szantaż. No może odrobinę, w celu zmotywowania.
- Domowego nie znam, ale wiem, gdzie pracuje – szybko zapisał Palomie telefon i adres. – Niedaleko Alei Róż. Drugi dom po lewej. Wiem, bo tam dorabiałem, jako milicjant. Fajna fucha, ale się zdarzył wypadek z kawą. I po robocie. – Zapalił drugiego papierosa. – Więc tak, zadzwoni pani na ten numer i jeszcze dziś umówi się na wycieczkę „Czar PRL-u”. Koniecznie wersję deluks, z kryzysowym obiadem ekstra. W innych mają komplety aż do wakacji. Ale w deluksie trafia się czasem wolne miejsce.
- Myślałam, że jest na odwrót. – Ludzie na pewnym poziomie, można by rzec oswojeni z pieniędzmi, na ogół wybierają wersje wzbogacone.
- Chodzi o ten obiad ekstra. Wielu turystów boi się biegunki – wyjaśnił kierowca, rzucając długopis pod siedzenie. – I słusznie, jak ktoś latami wciągał atrapy, w kontakcie z prawdziwym kapuśniakiem może się posrać. Nie tylko ze szczęścia.
- Czyli deluks – powtórzyła, żeby lepiej zapamiętać.
- Z kryzysowym obiadem ekstra. Autorką tych pyszności jest oczywiście pani Tosia.

Podał karteczkę, Paloma podziękowała, zapewniając kierowcę, że może liczyć na jej dyskrecję. Zresztą komu mogłaby opowiedzieć? Norbertowi? Wcześniej musiałaby wytłumaczyć, czego naprawdę szukała w Coconie. A na to jeszcze nie pora.

– Tylko niech jej pani nie wspomina, że ma adres ode mnie – rzucił na pożegnanie. – Bo nie zechce rozmawiać, taka jest cięta za te poplamione kryminały.

Ani mru-mru, obiecała i pobiegła w stronę myślenickiego ryneczku. Mogłaby wracać tym samym bussem, uznała jednak, że to zbyt krępujące. Zwłaszcza w godzinie szczytu. Przyjemniej przesiedzieć porę korków w uroczej kawiarence, niż nasiąkać oparami mokrych od deszczu włosów, starych skarpet i smażonej kiełbasy. A swoją drogą dziwne, że ktoś taki jak kierowca cieszy się wzięciem. Ani ciekawy, ani zbyt pewny własnej atrakcyjności. Pachnie też byle jak, tanimi fajkami. A przecież to trzy najważniejsze, zdaniem profesor Miriam Barbitelli, czynniki (intrygująca osobowość, właściwy zapach i pewność siebie) sprzyjające powodzeniu, również u płci przeciwnej. Więc gdzie tkwi tajemnica? Czy to ważne? pomyślała nagle, stając przed uroczą kamienicą w kolorze zgaszonego beżu. Nie lepiej zwiedzić miasteczko? Skoro już się tu znalazła... Paloma nie lubi marnować okazji. Ani czasu. Dlatego stara się wykorzystać każdy dzień. „Wykorzystać” to niezbyt ładne słowo. Już woli stare dobre łacińskie *carpe diem*. Chwytaj, zanim ucieknie. Co nie znaczy, że trzeba pędzić z wywieszonym jęzorem. Prawdziwa sztuka polega na tym, by śpieszyć się powoli. *Festina lente*, bo jak mawiają Japończycy *seite-wa koto-o shisonjiru* („ci, którzy się śpieszą, popełniają błędy”). Tego właśnie się nauczyła na ostatnich warsztatach „Wolno żyć”. Dlatego zamiast męczyć się w korku, Paloma siada właśnie w maleńkiej cukierni. Zaraz zamówi moccacino bez cukru. Ponoć najlepsze w mieście, jak z dumą zaznaczono w karcie. I rzeczywiście, pachnie wspaniale, prawdziwą kawą. Co do smaku, Paloma potrafi odróżnić jabłko od drożdżówki, ale w sumie to bez znaczenia. Wybierając żywność, kieruje się składem chemicznym oraz opiniami ekspertów, w restauracji zaś ilością gwiazdek. Im więcej gwiazdek, tym łatwiej o zachwyty. Na szczęście Norbert ma podobny stosunek do jedzenia, dlatego w ich menu króluje sushi, a nie ma tam pospolitych marmolad ani dżemów. Wyjątek stanowią słynne angielskie konfitury z imbiru i cytryn. Numer jeden na liście Petuli Clarks, angielskiej gwiazdy programów kulinarnych.

A zatem pierwszy stopień pokonany, wyszeptła Paloma, odstawiając błękitną filiżankę. Wybierze się na dziwną wycieczkę, gdzie dostanie dalsze wytyczne. A potem? Kolejna trasa? Dionizy, kolega z sąsiedniego pokoju, uprzedził, że tak to właśnie wygląda.

– Od Annasza do Kajfasza. – Umilkł, uśmiechając się do własnych myśli. – A kiedy wreszcie odnajdziesz Brzytwę i zaczniecie wspólną podróż... dopiero cię wytrzęsie.

– Ale warto? – spytała, już w progu jego gabinetu.

Powoli przytaknął.

– Choć na początku żałujesz. I to bardzo.

Zawsze mogę się wycofać, pomyślała wtedy. Mogę, ale chcę dojechać do samego końca. Żeby nie było wątpliwości, Paloma docenia całą tę (nieco dziwną) podróż. Każdy jej odcinek i zakręt. Ale liczy też na rozwiązanie, bo tylko wtedy pchnie sprawę na właściwe tory. Najpierw musi



odnaleźć Brzytwę i dowiedzieć się, co poszło nie tak. Na razie wie tylko, kiedy w ich sypialni pojawił się pierwszy okruszek. Już w **noc poślubną**.

– *Jaki ogromny! Gigantyczny! Czy na pewno się zmieści?* – wyszeptała strwożonym głosem Paloma i leciutko ugryzła Norberta w ucho.

*Postaw na sprzeczne komunikaty, powtórzyła za mistrzynią gier i zabaw okołoweselnych, Wendy O'Neal (a wcześniej Adams, Jonas, Richardson i trzykrotnie Bailey). Dziewczęce zawstyżenie i wyuzdane pozy. Śmietankowa niewinność sukni i diabelski urok kabaretów. Listek świeżej mięty w winylowych ustach. Weselny koktajl serwowany pół żartem pół serio czyni cuda, obiecywała Wendy. Zaczaruje nawet twojego drużbę. A Norberta?*

– *Wyrasta mi kaktus saguaro – oznajmił, zaglądając sobie do spodni.*

– *Robi się gorrrąco – zagruchala, nie przestając majstrować mu przy uchu.*

– *I niebezpiecznie. Więc zanim stracę przytomność z niedotlenienia, może przejrzymy prezenty?*

*Na taki rozwój wypadków czy raczej jego brak Paloma też była przygotowana. Przecież słyszała od Margo, że upalna noc poślubna często zmienia się w wieczór świętego Mikołaja.*

– *Zresztą nie ma czego żałować – zdradziła kumpela, krzywiąc się na wspomnienie własnego wesela. – Szampan z wódką to równie kiepskie połączenie, co lód z pawiem.*

*A jednak reakcja Norberta sprawiła Palomie przykrość. Dlaczego? Zastanowi się jutro, teraz musi, to znaczy chce się skupić na przyjemnościach. Prezenty.*

– *Zajmiesz się pieniędzmi?* – poprosiła. – *Mam dosyć cyferek w pracy.*

*Skwapliwie przytaknął, biorąc ze stosu pierwszą kopertę. Przez chwilę pracowali w milczeniu.*

– *Wspaniała lampa – odezwała się wreszcie Paloma. – Od siostry z Kalabrii. To dopiero niespodzianka!*

*Ostatni raz rozmawiały w kwietniu tamtego pamiętnego roku, kiedy cały świat bratał się ze sobą, zapominając o dawnych urazach.*

– *A u ciebie?* – zwróciła się do męża.

– *Tysiąc po raz trzeci. I życzenia długich, długich lat w szczęściu, zdrowiu, dobrobycie. Od stryjenki Gabrysi. – Sięgnął po następną kopertę. – Znowu tysiąc. W złotej kartce, z wierszykiem. „Dziś wchodzicie w nowe życie. Każdy o tym marzy skrycie. Każdy chciałby tak jak wy, przy ołtarzu ronić łzy”. Podpisano, Miśkowie.*

– *Słodkie – rozczuliła się Paloma.*

– *Trzysta dolarów – wyliczał dalej. – Od ciotki z Moskwy. Mogłaby dorzucić jakiś brylant albo złoty ząb, byłoby bardziej stylowo. A od twojego ojca trzysta euro.*

– *Oraz żelazko nowej generacji – wskazała pudełko uwolnione z ogromnych kokard w czerwone serduszka. – Inteligentny system aplikacji pary wodnej. Dwadzieścia różnych programów. Fantastyczne!*

*Paloma nie jest wprawdzie pewna, czy w swojej garderobie znalazłaby choć dziesięć bluzek wymagających prasowania, ale lepiej mieć wybór, niż go nie mieć. Od przybytku głowa nie boli.*

*– Dołączył nawet wierszyk. Po niemiecku. Na pewno coś rubasznego. Ale tego nie przebiję – Norbert pokazał kartkę od szwagrów. – Sama zobacz. – Zsunęła się z łóża i przysiadła na dywanie, blisko męża. Razem zaczęli czytać na głos.*

*– „Niechaj żyje Para Młoda, niech się każdy gość weseli. Bo Pan Młody Młodej Pani ślubną bramkę dzisiaj strzeli. Niechaj strzela, niech się cieszy, bo to dzisiaj ślubny mecz, aż zmęczona żonka krzyknie: zejdz z boiska mężu, precz”.*

*Wymienili się spojrzeniami. Weselne życzenia, ślubne fotografie i przesłodzony różowy tort. Festiwal kiczu, który trzeba traktować z przymrużeniem oka. Inaczej zmieni się w koszmar, pomyślała, sięgając po ogromne pudło otulone złocistą mgiełką papieru ryżowego.*

*– Aż żal rozwijać.*

*– Nie musisz, to ekspres od moich rodziców, ten, który widzieliśmy w galerii – zdradził Norbert. – A u mnie znowu tysiąc. Okraszony częstochowskim rymem. „Szlocha mama, szlocha tata, łezki widać w oczach brata, siostra też ze szczęścia płacze, a Pan Młody w górę skacze i ogromnie się raduje, Panna Młoda mu wtóruje. Bo nim trzy kwadransy miną, jedną staną się rodziną”. Rzewne.*

*Wypatroszył następną kopertę i zastygł w bezruchu.*

*– Coś się stało? – spytała.*

*Sam chciałby wiedzieć. Przecież nie chodzi o kopertę. Pusta trafia się każdej młodej parze. Miśkom wręczono aż cztery. Niby powinien się cieszyć, że jak na razie dostali tylko jedną, ale...*

*– Wszystko w porządku? – dopytywała Paloma, obserwując twarz męża.*

*– Tylko pusta koperta – odparł wreszcie. – Weselny standard w pakiecie z przesolonym bigosem i fałszami podchmielonego wodzireja.*

*– Pokażesz? – Wysunęła dłoń.*

*Podał jej zawartość. Dziewięć wycinków z gazet, przewiązanych czerwoną muliną. A każdy wielkości stułotowego banknotu.*

*– Na ogół dają tysiąc, dziwne. Ale poza tym staranna robota – oceniła. – Ciekawe, kim jest...*

*Urwała natychmiast. Nie ze strachu. Po prostu takie rozważania stwarzają niepotrzebne podziały na to co moje i nie moje. A przecież nie po to brali ślub, by wytyczać bzdurne granice.*

*– Przynajmniej nie dołączył wierszyka – zażartowała.*

*Odpowiedział jej uśmiechem. Zmęczonym, pomyślała wtedy.*

\*

A dziś? Wie tylko, że musi znaleźć kogoś, kto pozamiata w ich małżeńskim łóżu. By wreszcie mogli komfortowo sypiać. Dlatego wraz z grupą dziesięciu podekscytowanych polonusów czeka na rozpoczęcie przedstawienia „Czar PRL-u, wersja deluks z kryzysowym obiadem ekstra”.

– Zapraszamy! – huknął Gospodarz, otworzywszy skrzypiące wrota socjalistycznego raj. – Buty zostają na korytarzu. Trudno dziś o porządną pastę do podłóg.

– Co robić, kryzys – podchwyciła pani Tosia vel Gospodyni, rozkładając dłonie w geście bezsilności. A może powitania? – Oto i nasze skromne progi. Po prawej stronie kuchenka, po lewej stronie łazienka. Na wprost salonik.

Identyczny jak w dawnym domu jej dziadków, ze zdumieniem odkryła Paloma. Ściany w kolorze kanarkowym tu i ówdzie ozdobione kolorowymi makatami. O ile nadjedzony przez mole szalik w zygzaki może cokolwiek zdobić. Pod jedną ze ścian upchnięto wypoczynkowy komplet: bordowe zapadnięte fotele i kulawą kanapę. Identyczną jej dziadek wioził aż z Kalwarii. Naprzeciwko kompletu straszyla gierkowska, lakierowana na wysoki połysk, meblościanka. Kilka pań od razu sprawdziło, czy można się w niej przejrzeć.

– Nie dotykać, bo paluchy zostaną – warknął Gospodarz, wzbudzając zachwyt trzech tlenionych blondynek, podobno z Vancouver. – I ostrożnie z dywanem. Staliśmy po niego dwie doby. Czterdzieści godzin na mrozie, przy ognisku ze starych łubianek.

Wskazał ogromne dywanisko w bordowe tureckie wzory. Obciachowy, ale świetnie zachowany, przyznała Paloma. Ten w salonie jej dziadków miał więcej śladów użytkowania. A przecież babcia Dusia umiała dbać o przedmioty – dziwne...

– Pod spodem kryzysowe linoleum – kontynuował Gospodarz.

– Proszę zwrócić uwagę – wtrąciła Gospodyni – że niczego nie udaje. Ani terakoty, ani płytek.

Rzeczywiście! Prawdziwe linoleum, w czystej postaci i typowym dla siebie szarym kolorze. Grafik z parteru, firmowy gadżeciarz byłby zachwycony.

– A oto i serce każdego polskiego domu – Gospodyni postukała palcem w toporny telewizor marki Rubin, rówieśnik Palomy. A może nawet starszy brat, kto wie.

– Bardzo gorące, czasem trzeba wyłączać w połowie meczu – poskarżył się Synek, dwudziestoparoletni misiek w siatkowym podkoszulku.

– I wreszcie kryształy – zakończyła prezentację, ignorując uwagi Synka.

Całe mnóstwo ustawionych, gdzie tylko można. Za to żadnych książek, a z gazet trzy pożółkłe numery „Trybuny Ludu” i „Panorama” z wiosny osiemdziesiątego czwartego.

– Ten numer czytałam tuż przed odlotem – rozczuliła się jedna z pań. – Mój Boże, to chyba jakiś znak, prawda?

Niestety nikt nie umiał jej odpowiedzieć, jaki.

– To co? – ożywił się Gospodarz. – Szykujemy się do obiadu, matka?

– A co dziś będzie? – zainteresował się Synek, zacierając dłonie o skórce tak delikatnej, że Paloma poczuła zazdrość. A przecież dba o swoje jak mało kto. Chroni, masuje, odżywia i, kiedy nie ma Norberta, zawsze śpi w bawełnianych rękawiczkach.

– Ponieważ skończyły nam się kartki na cukier, mięso i słodycze, będą – zastanawiała się Gospodyni – stare ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Od baby – dorzuciła, przechodząc do kuchni.

– Wy tu doicie młoda matka? – dopytywał się jeden z turystów, nie kryjąc ekscytacji. – Rękami czy maszynie?

Musiał wyemigrować bardzo dawno temu, uznała Paloma. Przecież każdy Polak wie, co znaczy mleko od baby. I jaja, bardziej cenione w tym kraju niż jakiegokolwiek inne.

– Jaka matka, Paul. Od baby znaczy, że nie jest ze shopu – wyjaśnił kumpel. – Tylko od farmera.

– Ale oklaski za jakość należą się krowie – wtrąciła Gospodyni. – Mleczko jak wino. Wczoraj wydojone, postawiłam przy kaloryferze i zaraz skisło.

– Tak samo z siebie? – przeraziły się blondynki. – To na pewno zdrowo?

– Takie właśnie pijałam u dziadków – wzruszyła się pani od „Panoramy”. – I siłę mam jak bizon. Cały office Jordache-ów sprzątam w jedno przedpołudnie.

– A na deser?

– Ciemny chleb z gryczanym miodem. I gorzka gruzińska herbata ze szklanki – oznajmiła Gospodyni, nastawiając ogromny żeliwny czajnik. – Parzona na chlorowanej wodzie.

– A kompot? – przypomniał Synek.

– Zrobiłabym, ale na przednówku nie ma z czego. Z jabłek ugotowałam już zupę. Dla odważnych – ostrzegła.

– Japanka z kluseczkami – ucieszyli się dwaj panowie z Wellington. – Babcine delicje.

– Ale do obrania ziemniaków to potrzebuję pomocy – oznajmiła Gospodyni. – Jedną, dwie osoby, więcej kuchnia nie pomieści. Kto pierwszy?

Cisza. Każdy miałby ochotę, ale trochę głupio się wrywać z szeregu.

– Liczę do pięciu – huknął Gospodarz – potem sam za uszy wyciągnę.

Kanadyjski rynek usług sado-maso nie musi się obawiać kryzysu, uznała Paloma, obserwując zachwycone blond turystki. I natychmiast zgłosiła się na ochotnika. Niemal równocześnie z panią od „Panoramy”. Reszta grupy przyjęła to z godnością.

Usiadły w mikroskopijnej kuchence, z okienkiem wielkości lufcika umieszczonym tuż pod sufitem. Gospodyni z Palomą wybrały miejsca przy pokrytym ceratą stoliku, pani od „Panoramy” usadowiła się w przejściu.

– Mielśmy do wyboru balkon albo duże okno – odezwała się Gospodyni, nalewając z wiadra wodę do obtłuczonych garów. – Kiedyś żałowałam. Ale teraz to nawet wolę, jak jest ciemniej. Pajęczyn nie widać ani żył na rękach. A po żarówce człowiek nie stoi już godzinami. Ziemniaki płuczemy w łazience – poleciła ochotniczce. – Za mało miejsca. – postukała w mikroskopijny zlew ukryty między odrapaną kuchenką a laminowanym kredensem. – Ledwo szklankę można umyć. Kiedyś psioczyłam na architekta, który to zaprojektował. Nalegałam, żeby go zesłać na trzy lata pobytu w podobnym lokalu, ze ślepą kuchnią. I niech chłopina spróbuje przygotować choć jeden obiad. Ale po rozwodzie i wyprowadzce mi przeszło.

– Jak długo tu pani nie mieszka? – spytała Paloma, kiedy zostały same.

– Dwadzieścia lat, chwalić Boga. Przychodzę tylko raz w tygodniu. Odstawiam show „komuno wróć”, czasem robię kryzysowy obiad ekstra, i jadę do siebie. A ty, kochana, skąd?

– Bronowice.

– Nasza, tak myślałam – ucieszyła się Gospodyni. – Za mało, kochaniutka, błyskasz zębami. I ekspresja też raczej stonowana. Pytanie, czego tu szukasz? Bo chyba nie drzwi do przeszłości.

Raczej do przyszłości, pomyślała Paloma, przełykając ślinę.

– Brzytwy – odparła, ściszone głosem, bo do kuchni wkroczyła właśnie pani od „Panoramy”.

– Ziemniaki wyplukane – oznajmiła, stając na baczność.

– To teraz, kochaniutka, przynieś nam brzytwę. Chcę pokazać, czym się mój stary goli jak z żyletkami taka bieda. – Pani Tosia znowu wczuła się w rolę kryzysowej Gospodyni.

Ochotniczka natychmiast znikła w łazience.

– Chodziło mi o kobietę – sprostowała Paloma. – Podobno się panie znają.

– Jest jak rodzina, choć... ciągle nie przeszliśmy na ty – odkryła pani Tosia ze zdumieniem.

– Może pani wie, gdzie ona bywa albo pracuje?

– Tu i tam, trudno spamiętać. Ale popytam jej chrzestną, kochana i w piątek ci powiem.

– Mam zadzwonić?

– Przyjdiesz do mnie, do biblioteki. Przy okazji się zapiszesz. No chyba że należysz do innej placówki.

Paloma z rozpędu zaprzeczyła, zaraz żałując szczerości.

– Kamień z serca, nie lubię robić konkurencji koleżankom. Więc w piątek koło południa pod tym adresem. Ty dostaniesz dostęp do Brzytwy, a ja nową, ambitną czytelniczkę.

– Ambitną?

– Na taką mi właśnie wyglądasz, kochana. Żadnej prowizorki.

\*

Racja, Paloma nienawidzi prowizorek ani działań na pół gwizdka. Jeśli już bierze książkę do ręki, czyta do ostatniej strony. Ale tak solidna lektura wymaga czasu, którego Palomie ostatnio brakuje. Dlatego prosto z Alei Róż przejechała taksówką do Alchemii. Jak wspomniał barman z Coco, w głębi drugiej sali przesiaduje Sybil, tutejszy wieszcz i niespełniony poeta disco-polo. On też zna Brzytwę.

– Jeśli trafisz na właściwą fazę, odsłoni rąbek tajemnicy.

I Paloma nie będzie musiała odwiedzać biblioteki. Ale to nie jedyny powód, dla którego sprawdza alternatywną ścieżkę dostępu do Brzytwy. Otóż Paloma lubi mieć wybór. Im szerszy wachlarz ofert, tym łatwiej wybrać najbardziej korzystną. Jak Norbert. Zadbany, przystojny (ale nie przesadnie), dobrze wykształcony, obyty w świecie i dowcipny. Pieniądze? Ma ich tyle, by cieszyć się życiem, nie zważając na koszty. Więc gdzie tkwi problem? Nie może myśleć w ten sposób, zbesztala samą siebie. Zamiast na problemie, musi skupić się na celu. Potem na kolejnych i tak do końca. To znaczy do rozwiązania, poprawiła natychmiast. „Koniec” to takie okropne słowo. Bez możliwości odwołania. A jednak, pomyślała po chwili, to ono nadaje życiu smak. I sens.

– Sens? – zaśmiał się Sybil. – Nasze życie nie ma żadnego. Żadnego! Napisałem o tym wiersz, ale nikt go nie rozumie. Ludzie są głupi. Skupieni tylko na konsumpcji. Wchłaniają i srają, srają i wchłaniają. A potem znowu srają byle czym. Cały świat tonie w kupie.

Krakowski spleen. Paloma mieszka tu już szósty rok i ciągle nie może się przyzwycząić. Kawiarniane Radio Armagedon, z rozgłośnią na Kazimierzu.

– Straszne – przyznała, by zmniejszyć dystans.

– Straszne? – wykrzyknął Sybil. – Śmiechu warto! Utonąć we własnym gównie. Potop na miarę naszych czasów!

Dokończył czwarte piwo.

– Jest chyba jakiś ratunek – odezwała się Paloma, podsuwając mu kolejny kufel.

– Arka Noego? Krąży pusta: pasażerowie wybrali Titanic.

– Szukam Brzytwy – zaryzykowała.

– Lepszy jest sznur – odparł. – Albo gorący wosk, zależy czego oczekujesz.

– Rozwiązania.

– Więc sznur. Nie zostawia tyłu śladów.

– Wolalabym Brzytwę – ponowiła prośbę, lukrowanym głosikiem. Krakowscy wieszczę też lubią słodyczne.

Przez minutę siedział wpatrzony w kufel piwa jak w szklaną kulę. Nagle chwycił długopis, nagryzmolił coś na kawiarnianej serwetce, zmiął w kulkę i rzucił jej na podolek.

– Będzie bolało.

\*

Ale Paloma jest przygotowana na ból. Bez bólu nie ma rozwoju. Jak mawiali starożytni: *per aspera ad astra*.

– Coś o tym wiem – podjęła Margo. – Dwa razy w tygodniu pilates, raz w miesiącu depilacja brazylijska, a co pół roku ostrzykiwanie twarzy. Ale nic za darmo, zwłaszcza po trzydziestce.

Nic za darmo, powtórzyła cicho Paloma, przyglądając się bagrołom na serwetce. „Pętla Borek, biały sprinter, baba z wąsem”. Najwyraźniej nie trafiła w odpowiednią fazę. Ślepa uliczka? Cóż, zdarza się w każdej podróży. I każdej nadaje sens, jak uważa autor *Zen w wielkim mieście*, Horst Schwartzer. Wydaje się niepotrzebna? To tylko my, ślepi ludzie nie umiemy dostrzec jej sensu. Paloma też nie potrafi, wierzy Horstowi na słowo. Zresztą najważniejsze, że spróbowała różnych opcji. Tylko w ten sposób można sprawdzić, która z uliczek jest przejezdna. Jedna doprowadzi ją do Brzytwy, na pewno. Ciekawe tylko, ile to jeszcze potrwa. Cała ta podróż. Bezsensowność Norberta zaczyna być problemem. Wczoraj Paloma znowu budziła się co godzinę, a to bardzo obniża nastrój w ciągu dnia. I ten irytujący brak decyzji w sprawie wyjazdu. Dziś przed obiadem usiłowała poruszyć temat.

– A Morze Martwe? Mają tam fantastyczne ośrodki SPA dla nowożeńców.



– Rozpocząć nowe, wspólne życie w Morzu Martwym. Brzmi intrygująco – przyznał. – Szkoda, że to tak blisko Jerozolimy.

Ach, racja. Opowiadał podczas firmowej wigilii o **syndromie jerozolimskim**.

– *I nagle stojąc przed Grobem Pańskim zrozumiałem, że jestem...* – zawiesił głos.

– *Marię Magdaleną?* – zaryzykowała Margo.

– *Wiadomo kim* – oznajmił Szeff tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– *Judaszem* – wyjawił Norbert.

*Wszyscy ucichli, nie wiedząc jak zareagować. Zdezorientowani zerkali na Szeffa. Może podsunie właściwy komentarz.*

– *Paskudna sprawa* – skwitował Szeff, ukrywając konsternację w kieszeni nowych spodni od Bossa.

– *Ja też byłem rozczarowany* – przyznał Norbert. – *Liczyłem co najmniej na rolę Jana od wizji. I gdzie się podziały te cholerne srebrniki? Przeszukałem nerwowo wszystkie kieszenie. Nic. Więc wdrapałem się na drzewo, żeby zyskać szerszą perspektywę. A ci z ochrony uznali, że chcę się powiesić.*

*Znowu cisza.*

– *Panikarze* – rzuciła Margo, oburzona. – *Mnie zgarnęli z Mostu Legionów Piłsudskiego. A chciałam tylko zobaczyć wschód słońca w Nowy Rok.*

– *Mnie wsadzili na trzy doby do izolatki. I dlatego nie zwiedziłem Muzeum Dawida.*

\*

Mogliby je zwiedzić teraz, pomyślała Paloma i przy okazji przepracować stare traumy. Jak czytała w znakomitej *Ścieżce mistrzów*, jej ulubionego nauczyciela, Jima Mo Fan Be, czasem warto wrócić do miejsc, gdzie doznaliśmy krzywdy albo załamania, by jeszcze raz, na spokojnie, przyjrzeć się bólowi. „Cierniowa ścieżka” (nazwa opatentowana przez Jima wiosną 2001) pomaga oczyścić stare rany, raz na zawsze. I zacząć nowe wspaniałe życie, tu i teraz. Ale Paloma nie może robić za terapeutkę własnego męża. Zbyt ryzykowne i mało skuteczne, ostrzegął w każdej książce mistrz Jim, zapraszając na wakacyjne warsztaty dla zdezorientowanych małżonków. Zimą u siebie, w Arizonie. Wiosną na Bali. Cudowne miejsce, niestety w ich przypadku odpada. Już pytała Norberta tydzień temu, podczas sobotniej romantycznej kolacji.

– Bali? – Upił duży łyk białego wina. – Miśkom bardzo się podobało

– *Szwagierka też była zachwycona* – podjęła Paloma, nerwowo bawiąc się woskiem z zapachowej, srebrzystobiałej świecy. – *Nawet Margo, która nie lubi się ruszać poza miasto. I wszyscy z działu marketingu.*

– *No właśnie, wszyscy* – rzucił z przekąsem. – *Wolałbym coś wyjątkowego.*

– *Jak przydworcowe bary?* – zażartowała.

Przez chwilę zastanawiał się nad czymś. Nagle przypomniała mu się ulubiona zabawa z dzieciństwa. W biedaków. Ukryty w altance dziadków wyobrażał sobie, że ma do jedzenia wyłącznie suchy chleb i zupę z gotowanych pokrzyw. Ale teraz jest już dorosły. Powinien trzymać fason.

– Na Bali nie wolno wyrażać smutku ani złości – odezwał się wreszcie. – A wiesz, jacy jesteśmy przekorni.

– Nie chodzi o przekorę.

Czytała o tym w kultowej *Największej rewolucji*. Autor, Aaron Yansky, kontrowersyjny wykładowca z Florida University, tłumaczył, dlaczego mamy problem z przestrzeganiem dziesięciu przykazań. Otóż ludzki mózg słabo sobie radzi z konstrukcją „nie + czasownik”. Dla poparcia swych słów Yansky proponował czytelnikom, by przez minutę nie myśleli o gotowanej marchewce. Trudne, prawda? Chcąc zatem zmienić nawyki, musimy przeformować język. Zamiast „nie będę jeść fast foodów” – „koniec z fast foodami”. A jeszcze lepiej: „wybieram tylko zdrową i pyszną (dodatkowe wzmocnienie) żywność”. Jeśli słowo „fast food” zniknie z twojej głowy, przestanie bywać w innych częściach ciała, obiecywał Yansky. Postulował również, by przerobić znaki drogowe i oczywiście Dekalog. Zamiast „nie kradnij” – „uszanuję cudzą własność, także intelektualną”. Byłaby to największa rewolucja moralna, przekonywał, zyskując wielu wrogów w pravicowych kręgach uniwersyteckich. Ale i spory rozgłos gdzie indziej.

– A co z przykazaniem Jezusa? – zainteresował się Norbert. – Łamiemy je częściej niż inne.

– Yanski jest żydem – burknęła.

– A trzecie i czwarte z Dekalogu?

To się robi wyjątkowo denerwujące. Ilekroć Paloma porusza sprawę podróży, Norbert zgrabnie przeskakuje na inną ścieżkę. A potem mijają odpowiedni nastrój i Palomie brak motywacji, by nawiązać do tematu. Dlatego musi odnaleźć Brzytwę. „Muszę i znajdę jeszcze w tym tygodniu”, oznajmiła sobie i siłom wyższym, by wskazać im kierunek działania. Dla wzmocnienia przekazu powtórzyła „znajdę w tym tygodniu” siedem razy. Potem wzięła trzy głębokie oddechy i sprawdziła na mapie adres biblioteki. Ach, biblioteka. To dopiero wyzwanie! Paloma nie była w żadnej od końca studiów. Bo i po co? Wszystkie ważne poradniki zamawia w sieci, bestsellery pożycza (rzadko) od trzech sprawdzonych kumpli z biura, a klasykę odstawiała po maturze na najwyższą półkę.

– Tam, gdzie jej miejsce – skwitowała kiedyś Margo. – Po tym można poznać prawdziwą klasykę. Każdy chce ją mieć, ale nikt po nią nie sięga. Za wysoko.

Co najwyżej cytuje wyrwane z kontekstu zdania. A do tego wystarczają google. Więc wyprawa do biblioteki to nie byle co, pomyślała Paloma, z dreszczykiem niepo... raczej ekscytacji. Tak właśnie: e k s c y t a c j i. Ale dla pewności zabierze ze sobą Margo. We dwójkę zawsze raźniej. Poza tym Margo jest naprawdę znakomitą towarzyszką. Nie grymasi, nie obwinia, nie wywleka starych błędów. Również dlatego że nie sięga pamięcią dalej niż cztery doby wstecz. Poza tym nie domaga się wyjaśnień i nie zadaje zbędnych pytań. Przyjmuje świat takim, jaki jest. I co ważne, lubi poznawać nowe miejsca. Albo odkrywać te już dawno zapomniane. A wszędzie wchodzi jak do własnej łazienki, zachowując luz, który udziela się osobom towarzyszącym. Co bywa czasem **ryzykowne**.

Grafik z parteru skołował trochę amfy i spytał, czy się poczęstują. Margo od razu zaświeciły się oczy. A Paloma? Nie była wtedy jeszcze adeptką trzystopniowego kursu kobiecej asertywności (ukończonego z wyróżnieniem). Poza tym nie chciała zrażać do siebie nowych kolegów z firmy. Akceptacja grupy pomaga piąć się na szczyty. Odchrząknęła więc tylko, co uznano za zgodę. Zamknęli się we trójkę w biurowym kiblu. Grafik wyjął towar, rozsypał na wykafelkowanym blacie i biblioteczną kartą z Jagiellonki ułożył trzy w miarę równe „ścieżki”. Za pomocą rurki do drinków wciągnął swoją porcję proszku. Potem do akcji wkroczyła Margo, rozprawiając się ze środkową ścieżką. Paloma z ulgą przyjęła boczną, nieco węższą od pozostałych. Przez pół minuty przyglądała się sobie w lustrze. Nic, zupełnie. Jak dobrze, że wzięła tak niewiele. Ot tyle, żeby wytrzeźwieć. Ucieszona wróciła na parkiet, gdzie przetańczyła dwadzieścia piosenek Madonny. Potem wykonała na stole efektowny striptiz, zyskując aprobatę kolegów z firmy. By okazać, że się integruje z zespołem, machnęła laskę grafikowi, specjalistom od marketingu i programiście. Zanim zdążyła poderwać sekretarkę prezesa, zabawa przeniosła się do klubu, skąd wymieciono Palomę tuż przed świtem. Nie czekała na tramwaj, bo i po co? To tylko osiem przystanków, przekonywała towarzyszących jej panów. Do domu dotarła w kwadrans (do dziś się zastanawia, jakim cudem). Czekać na sen, wyszorowała wszystkie posadzki, wyczyściła kuchenne szafki i lodówkę, z resztek piekąc niedzielne ciasto (w siedmiu wersjach smakowych, z cukrem i bez). Koło dziesiątej zabrała się za czytanie Bułhakowa. Tuż przed końcem naszła ją ochota na drzemkę. Dlaczego nie, w końcu niedziela służy szeroko pojętemu odpoczynkowi. Paloma przymknęła znużone powieki i spała smacznie aż do poniedziałku. Obudziła się zmięta jak dycha w kieszeni sprzedawcy śliwek. Obejrzała w lustrze swoje spuchnięte wargi. Przepłukała usta dezynfekującym płynem (trochę wypiła, żeby zneutralizować ciała obce). A potem machnęła trzy zdaniowe wypowiedzenie. Poszło mailem. Na więcej nie starczyło jej odwagi. Ani energii. Cały dzień przeleżała w łóżku, gapiąc się w sufit i popijając listerynę. Wieczorem przysła do niej Margo. Równie opuchnięta. I też bezrobotna.

- Zwolniłaś się? – spytała Paloma, poruszona tym niespodziewanym aktem solidarności.
- Skąd! Wywalili mnie, bo „w naszym zespole nie ma miejsca dla uzależnionych”. Nawet nie zdążyłam wyjaśnić, że to pierwszy raz. Może nawet ostatni.
- Skąd wiedziałaś, jak wciągać? – dopytywała zdziwiona jej sobotnią wprawą Paloma.
- Oglądałam sporo francuskich filmów. Nic, było minęło – oznajmiła, energicznie siadając. – Znajdziemy, Laska, lepszą pracę. Jesteśmy tego warte. Bo kto jak nie my!

\*

Margo umie poprawić samoocenę. I tak łatwo można zapomnieć przy niej o błędach; sama popelnia ich tyle, że aż śmiech. Bywało, że Paloma była zażenowana dosadnymi uwagami koleżanki. Spięta nie czuła się nigdy. Dlatego podczas przerwy na kawę przedstawiła „propozycję nie do odrzucenia”.

– Do biblioteki? Po co?

Przy kimś innym Paloma musiałaby się nakombinować. Ale nie przy Margo.

– Szukam specjalistki od bezsenności – odparła po prostu. – Wspomniałam ci, że Norbert ma problemy z fazą REM.

Margo gorliwie przytaknęła, udając, że pamięta.

– Babka jest świetna, ale ekscentryczna. Nie ma biura ani nie używa telefonu, nawet stacjonarnego.

– Niemożliwe!

– Ale w bibliotece wiedzą, jak do niej dotrzeć.

– To lecimy, Laska, powiedz tylko kiedy.

Cała Margo. Nie drąży, nie dopytuje. Zadowolona się tym, co dostanie. Pewnie dlatego ciągle jest tą trzecią. I nigdy ostatnią. Ale mimo wszystkich miłosnych porażek nadal tryska entuzjazmem. Wrodzonym, czego Paloma szczerze jej zazdrości. Na swój musiała pracować latami. Udało się dopiero po lekturze książek Jima Mo Fan Be. Dlatego tak go ceni. Pokazał jej, że szczęścia można się nauczyć.

– Nauczyć? – zdziwiła się Margo. – Przecież szczęście to krótkie błyski, które przychodzą zniemacka jak majowy deszcz. Nie przewidzisz, kiedy znowu cię zmoczy.

Krażyły właśnie po osiedlu, szukając biblioteki. A z nieba siąpił obrzydliwy, marcowy kapuśniaczek.

– Krótkie błyski to miły bonus – odparła Paloma, cytując dla odmiany Horsta Schwartzera. – Jak prażone migdały w gorzkiej czekoladzie. Ale liczy się całość, łącznie z papierkiem.

– A jak się trafi wyrób czekoladopodobny? – zastanawiała się Margo, dzielnie lawirując między wyszczerbionymi płytami chodnika.

Otóż to! Cała sztuka polega na tym, by w podróbce widzieć prawdziwą czekoladę. Bo innej nie dostaniemy.

– Weź mnie, Laska, nie przygnębiaj. Ja cały czas liczę na belgijskie trufelki.

– Bardzo dobry kierunek myślenia – pochwaliła Paloma. – Należy oczekiwać najlepszego, jednocześnie ciesząc się z tego, co mamy.

– To ja już nie wiem, o co kaman – poddała się Margo. – Czym całe to szczęście jest. Czekaaniem czy zgodą?

Jednym i drugim w odpowiednich proporcjach. Przy czym „czekanie” nie oznacza bezruchu, na tym polega rewolucyjność teorii Schwartzera (szczegółowo przedstawionej w bestsellerowym *Zen po godzinach*). Dawniej sądzono, że szczęście to człowiek leżący na trawie. Zapatrzony w obłoki o nic nie walczy i niczego nie pragnie. „Czy nie przypomina wam to apatii?” pytał retorycznie Horst, natychmiast podsuwając własną wizję szczęścia: „wspinasz się na szczyt wysokiej góry, jednocześnie podziwiając widok, jaki się roztacza dookoła”. Nowatorskie podejście, tylko... czy Paloma tak potrafi? Nagle przyszła jej do głowy inna, równie niekomfortowa myśl. Czy osoba naprawdę szczęśliwa błąka się po obcym osiedlu w poszukiwaniu przewodnika? Zanim zdążyła się zdenerwować, Margo wskazała jej napis.

– Nareszcie! – pisnęła, zacierając zmarznęte dłonie. – Mogę sobie wyobrazić, że ucieszy mnie tabliczka czekolady, ale tego, Laska, że będę skakać na widok biblioteki. No tego bym nie wymyśliła nigdy w życiu!

\*

– Dwie nowe czytelniczki, jak miło! – cieszyła się pani Tosia. – Dowodziki poproszę.

Margo, zaskoczona, bez słowa wyjęła dokument. Wyplącze się z tego, uznała Paloma, w końcu jest dorosła. A może, kto wie, będzie tu wracać. Czasem przypadek otwiera nam drzwi do lepszego świata, powtórzyła za Jimem Mo Fan Be, pozbywając się resztek wyrzutów.

– Ciekawa jestem, jak się o mnie dowiedziałyście? – spytała pani Tosia, wypisując nowe karty biblioteczne.

– Od barmanów z Coconu – wyszeptła Paloma, dyskretnie rozejrzawszy się na boki.

– Ach, ci! Kochane chłopaki. Wpadają tu co tydzień po nowe powieści.

– Co tydzień? – zdziwiła się Paloma.

Więc dlaczego jeden z nich wysłał ją w niepotrzebną podróż busem? Nie, wróć. Jaką niepotrzebną? Wszystko, powtórzyła, w s z y s t k o, co nam się przydarza, jest potrzebne. I ważne. Ma jakiś sens, który możemy odkryć. O ile tylko się postaramy. A ona bardzo się stara. Poza tym wycieczka busem to miła odskocznia od codzienności. Prawie tak samo fascynująca jak przejażdżka pełnym tramwajem. Teraz lepiej, pomyślała, odetchnąwszy z ulgą.

– Co tydzień wpadają, czasem częściej – pochwaliła chłopaków pani Tosia. – Bardzo nam podnoszą wskaźniki czytelnictwa.

– Ale nocami to chyba podnoszą co innego – wtrąciła Margo.

– Każdy ma prawo do odrobiny szaleństwa. Ja, na przykład, podczas pełni jadę za miasto do lasu i wyję do księżycy. Godzinę dwie, czasem aż po błądy świt.

– Pomaga?

– Niby w czym? – nie zrozumiała pani Tosia.

Tego Paloma się nie spodziewała. Przecież każda czynność wymagająca tyle wysiłku powinna czemuś służyć. Przynosić spokój, szczęście, radość albo chociaż ulgę. Słowem dawać korzyść. Ciału lub duszy. Ale czy musi to wszystko tłumaczyć obcej osobie?

– Podobno krzyk uwalnia od stresów – rzuciła tylko, nie wdając się w szczegóły.

– Może i tak, nigdy się nie zastanawiałam. Jadę, bo muszę. Po prostu. Nie zważając na ryzyko.

– Ryzyko? – zainteresowała się Margo, wielbicielka opowieści z dreszczykiem.

– Raz o mało nie zginęłam – wyjawiała pani Tosia, ścisząc głos. Czym natychmiast przyciągnęła uwagę starszerek wertujących kolorowe pisemka pełne równie kolorowych przepisów na życie. I smakowitych plotek.

Lubimy cudze sekrety, pomyślała Paloma. Nagle poczuła się tak, jakby ją przeniesiono do dawnego salonu dziadków. Niby wygodnie, bezpiecznie i doleję-ci-zupki-droga-wnusiu, a jednak

gdzieś po kątach czai się dziwne napięcie. Usiłując strzepnąć przykre myśli, wyraziła zainteresowanie historią pani Tosi.

– Chodziło o kleszczowe zapalenie mózgu? – Sporo się o tym mówi ostatnio w mediach.

– Gorzej – odparła bibliotekarka. – Jakiś cymbał wziął mnie za... nawet nie chcę sobie wyobrazić, za co. – Machnęła dłonią. – I ostrzelał z ukrycia. Na szczęście nie trafił, bo byśmy tu sobie nie gawędziły. Kiedy kula mi śmignęła koło ucha, dostałam szału. Dopadnę gamonia, myślę, i rozerwę na strzępy. Wydałam potężny ryk i szarżuję niczym nosorożec! Ale taki, kochane, prehistoryczny. Jak z *Parku Jurajskiego*.

Paloma miała ochotę sprostować, że w słynnym *Parku* występowały wyłącznie dinozaury. Ale uznała, że nie ma sensu. Nie po to przyszły do biblioteki, żeby tracić czas na sprostowania.

– A myśliwy? – dopytywała Margo.

– Zwiął, porzucając dubeltówkę na poszyciu. Będzie miał co opowiadać przy kociołku innym cymbałom.

– Dlaczego cymbałom?

– A kto normalny strzela dzisiaj do zwierząt?

– Podobno to taki test na męskość – Margo zacytowała wypowiedź z pisma dla obwieszonych gadżetami drapieźników w ludzkiej skórze.

– Szkoda, że nie zdają testów na człowieczeństwo.

– Nie lubi ich pani – skwitowała Paloma, starając się, by zabrzmiało to choć trochę jak pytanie.

– Nie lubić to mogę czytelnika, który mi wyplamił kawą nową książkę. Albo poczytny kryminał. Umilkła, zaciskając usta tak mocno, że Paloma zrozumiała obawy kierowcy busa.

– A tych tam z lasu mi raczej żal. Jak upośledzonego, co to nawet nie wie o swoim defekcie. Za to Brzytwa jest na nich cięta. Jakby ją kto naostrzył. Ach właśnie, miałam podać adres.

Paloma wyprostowała plecy, okazując tym samym gotowość do przyjęcia wskazówek.

– Już, już, tylko w notesiku sobie sprawdzę, bo to taka przedziwna nazwa. Niby love jak miłość, ale pisze się inaczej. Helena, to znaczy chrzestna Brzytwy trzy razy mi powtarzała. A i tak musiałam zapisać. Ile przy tym było krzyku – mruknęła do siebie, wertując zeszyt. – Jakby nie dało się spokojnie, z kulturą. O, jest, nareszcie! Klub Laff – przeczytała, akcentując oba „ef”. Miniecie Młynek po prawej, schodami w dół do podziemi. A teraz kochaniutki, zapraszam do działu książek. Mamy znakomite nowości.

– Kogo mamy pytać o Brzytwę?

– Po co pytać? Od razu ją poznacie, choćby po fryzurze – odparła pani Tosia, a widząc minę Palomy doprecyzowała. – Ogromny ul na czubku głowy, możliwe że wypchany rajstopami. Bo tyłu włosów nie ma nawet Violetta Villas.

– A jeśli nie poznam? – upierała się Paloma.

– Możemy się założyć. O najnowszą powieść Houellebecqa. To jak?

– Chętnie kupię i bez zakładów – zapewniła Paloma, ale bibliotekarka już wysunęła dłoń. – Dobrze! Stoi! Mam nadzieję, że pani wygra.

– Kochana, wierz mi, nigdy nie ryzykuję. Taką mam zasadę.



- To po co w ogóle...
- Choćby dla tego – pani Tosia wskazała pełne nowości półki.
- Imponujące – przyznały obie.
- A środków na zakupy coraz mniej.

\*

Ale pani Tosia znakomicie sobie radzi z brakami, przyznała Paloma, szukając w księgarni powieści Houellebecqa. Mogłaby się wstrzymać z zakupem książki, dopóki nie rozpozna Brzytwy i nie przegra zakładu. A nawet jeszcze parę dni, aż uzgodnią kontrakt. Tak by jej poradziły kobiety doświadczone tym rodzajem wiedzy, który odziera człowieka z wszelkich złudzeń. I pozbawia resztek ufności. „Nie płać od razu, poczekaj na przeceny. Kto się się śpieszy, ten zapesz”. Może i racja, Paloma woli jednak przekaz nie oparty na lęku. Dlatego zamiast wysłuchiwać mądrych po szkodzie, skorzysta ze wskazówek Horsta Schwartzera. W *Zen przed śniadaniem* Horst dokonał kolejnej rewolucji, rozprawiając się z mitem kapryśnego losu. „Kaprysi, bo tego właśnie oczekujesz!” – oznajmił zdumionym czytelniczkom i natychmiast przeszedł do ulubionych metafor. „Jeśli czerpiesz wodę zardzewiałym wiadrzem z dziurą, nie narzekaj potem, że nie masz czego pić”. A zatem sztuka polega na tym, by dobrać właściwe naczynie. Dlatego Paloma kupi powieść już teraz, by wskazać losowi właściwą drogę działania. A potem... pójdzie jak z płatka. Musi pójść.

\*

I rzeczywiście, ostatnie godziny mignęły szybciej, niż się spodziewała. Do wyjścia zostało tylko niecałe sześć, policzyła Paloma, malując paznokcie brokatowym lakierem (kolor „disco chic”). Co teraz? Strój już wybrany (modne džinsy i cieniowana tunika w stylu boho), kolczyki także (sięgające ramion pawie pióra), fryzura zrobiona u najlepszego fryzjera w mieście (o czym przypominał jej co chwilę podczas stylizowania). Wystrzałowe buty (przetestowane w czasie Sylwestra u Miśków) czekają na korytarzu. Jeszcze wyrazisty makijaż, torebka i będzie prawie gotowa.

- Szykujesz się jak na randkę – zauważył Norbert.
- Albo na spotkanie z rywalką – mrugnęła.
- A to przecież zwykle wyjście z Margo.
- Z Margo nie ma zwykłych wyjść – odparła, znacząco zawieszając głos. – Poza tym my, kobiety jesteśmy tak socjalizowane, że musimy się podobać.

W pracy, w szkole, w kościele, na wczasach, w osiedlowym zieloniaku, u fryzjera. Wszędzie z wyjątkiem domu, pomyślała, wracając pamięcią do czasów dzieciństwa. Matka w wymiętoszonym podkoszulku (równie szarym jak jej cera i oczy), z podobizną Bruce’a Lee i w starych kalesonach ojca. Z potarganymi włosami w kolorze żółtka (żałosna podróbka stylu Kim Wilde) i z klubowym

przyklejonym do dolnej wargi. Ogarniała się dopiero na wieść o Wizycie. Raz dziadkowie przyjechali bez ostrzeżenia. Tak nie można, usłyszała matka. „Że ci źle? Po pierwsze nie bluźnij, a po drugie to żadne wytłumaczenie. Wręcz przeciwnie, im gorzej się czujesz, tym bardziej się staraj. Schludna fryzura, czysta bluzka, miły uśmiech. To działa. I siedź prosto, zamiast zwijać się w precel!” Paloma na wspomnienie szorstkiego głosu dziadka natychmiast ściągnęła łopatki. Jeszcze bardziej niż zwykle.

Nie ma sensu do tego wracać, zdecydowała, energicznie wstając z fotela. Trzeba skupić się na tym, co za chwilę. A dokładnie za pięć godzin i dwie minuty. Powinna się psychicznie przygotować. Odprężyć przy kominku zapachowym, ułożyć dłonie w mudrze ziemi i w pozycji półłotosu dokonać rytuału „pozytywnego przyciągania”, jak radził mistrz Jim w *Ścieżce mistrzów 2*. Oczekuj najlepszego, powtarzał, bo.... zło przyjdzie samo, dokończyła wbrew sobie. Paloma lubi przysłowia, ale to budzi w niej irytację. I sprzeciw. Wiadomo, że różne rzeczy się zdarzają, ale po co od razu straszyć! I jeszcze ta cholerna dosadność w określaniu zjawisk. Zło. Czy nie lepiej mówić o niespodziankach? Lub o ważnej lekcji, którą podaruje nam życie? Rozdrażniona zaczęła się kręcić po salonie. Powinna wrzucić na luz. Ale jak? Na wino jeszcze za wcześnie, wypije parę lampek tuż przed wyjściem. A gdyby tak znowu przeczytała listę możliwych pytań i odpowiedzi? Po co? Wszystkie wkuła na blachę już tydzień temu, kiedy postanowiła, że znajdzie Brzytwę. Zostało jeszcze prawie pięć godzin, musi jakoś zabić czas, zanim... To znaczy chce go zagospodarować, poprawiła, przypominając sobie rady Yanskiego. Dobierając właściwe słowa, kreujemy lepszy, piękniejszy świat. Ciekawe na co Yansky zamieniłby „rozpacz” albo „zazdrość” pomyślała, nerwowo zerkając na zegarek. Nie, to bez sensu. Nie może się tak denerwować spotkaniem. Przecież Brzytwa ma jej pomóc. I pomoże, jak zapewnił Dionizy Fiotroń, kolega z oddziału. A to człowiek, który nie zmyśla ani nie upiększa. Dokładny, prawdomówny i taki zadbany. Wygląda jak trendsetter zatrudniony przez wiodące firmy odzieżowe. Przy tym ma w sobie coś szlachetnego. Pewnie dlatego Paloma była nim zainteresowana już od pierwszej firmowej imprezy. Spotykała się wprawdzie z Norbertem, ale niczego sobie nie obiecywali. Żadnych wyznań, żadnych planów. Paloma czuła się wolna na tyle, by... uważnie rozglądać się na boki. Zresztą, jak powtarza Wendy O’Neal dziewczyna musi mieć w zanadrzu koło ratunkowe. „I kamizelkę, inaczej pójdzie na dno jak puszka z mielonką”. Dlatego Paloma chętnie chodziła na imprezy, Dionizego zaś sama zaprosiła jesienią do modnej Drukarni. Po drugim martini opowiedział jej o swoim małżeństwie, w kilku zdaniach streszczając ostatni rok.

– Straszne – szepnęła przejęta. Że też o niczym nie wiedziała. A niby tyle sobie opowiadają na służbowych imprezach, poufale klepiąc się po ramionach.

– Byłoby gorzej, gdyby nie pomogła mi pewna Matka Polka. Zakręcona, ale skuteczna.

– A teraz?

Westchnął.

– Podobno udaje się przetrwać tchórzom – odparł wreszcie. – Ale to oni przegrywają życie. Ja straciłem już wystarczająco dużo.